



# WIECZORY RODZINNE

TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI



Seweryna Duchńska.

Nazwisko tej czcigodnej i zasłużonej autorki, która w roku bieżącym święci pięćdziesiątą rocznicę swej działalności literackiej, nie jest obcem czytelnikom „Wieczorów Rodziny”, gdzie spotykali je pod wieloma pięknymi po-

zyjami i opowiadaniemi. Ale nie wszyscy z nich wiedzą może, że przed laty, jako Seweryna z Żochowskich Pruszkowa, wydawała „Rozrywki dla młodocianego wieku”, dziś prawie zupełnie wyczerpane, tak były rozchwytywane i czytane przez kilka pokoleń młodzieży.

Oceniano już niejednokrotnie działalność p. Duchńskiej na różnych polach, nie będziemy przeto powtarzać wyrazów zasłużonego uznania i wdzięczności dla niej i podniesimy tylko raz jeszcze znaczenie „Rozrywek”, jako pracy wysoko pedagogicznej i moralnej wartości, które ozdobią każdej biblioteki domowej stanowi.

Umiała w nich autorka zebrać dobór artykułów z przedziwnem znanstwem serc i umysłów dziecięcych, wiedząc, jak do nich przemawiać i jaką im strawę duchową podawać, ażeby zaznajamiały się należycie z historią, wzbudzały w sobie zamiłowanie do nauki i literatury, a zarazem rozwijały zalety charakteru, niezbędne w życiu, jako to szlachetność, zacność, pracowitość i energię.

W „Rozrywkach” znalazło miejsce wiele pięknych utworów Duchńskiej, a między innymi: „Kasper Karliński”, obrazek dramatyczny wierszem, i powieści, jak: „Pamiętnik rodzinny”.

Autorka „Rozrywek” w ciągu całej swej działalności zasługiwała zawsze na ogólny szacunek i uznanie; pełna szlachetnych uczuć i dążeń, nie napisała nigdy nic takiego, co by wykreślić pragnęła, słusznie też w wierszu „moje pięćdziesięciolecie” powiedzieć mogła:

Z niezłomną wolą i sercem niezgasłem  
Wśród półwiekowej zawiei,  
Jam życie przeszła pod świętym hasłem  
Wiary, miłości, nadziei.

Zamieszkawszy od lat wielu w Paryżu, p. Duchńska zasilala pisma polskie cennymi artykułami swemi, a mianowicie „Kronikę Rodzinna”, której była stałą współpracowniczką.

Miłość jej dla młodego pokolenia nie zmniejszyła się z wiekiem; stąd też i nasze „Wieczory” cieszą się jej pracami.

W roku bieżącym zamieściliśmy zajmujące jej wspomnienia z lat dziecińczych, a na rok przyszły mamy już obiecane nowe opowiadanie.

Kończymy te słów kilka najlepszymi życzeniami dla szanownej autorki. Łączą się z niemi czytelnicy „Wieczorów”, których ona, jak wszystkich młodych, gorąco miłuje.

Maryja Łopuszańska.

## W WIEJSKIEJ ZAGRODZIE.

(Dalszy ciąg).

Najbardziej dziko wyglądała okolica, gdzie się rozpoczęły owe słynne jary Uszyckie, główne siedlisko rozbójników, porośnięte olbrzymimi borami, wśród których znajdowały się pieczary wykute w skałę, służące opryszkom za kryjówki.

Kto zapuszczał się w owe strony musiał być albo bardzo śmiałym, albo też zmuszała go do tego jakaś ważna sprawa, tak jak to miało miejsce z naszymi podróżnymi. Posuwali się oni w milczeniu natężając wzrok i słuch i bacząc pilnie na każdy szelest, bo straszne te lasy kryły tysiące niebezpieczeństw i zasadzek, a wspomnienia popełnionych tu morderstw wstrząsały dreszczem najodważniejszego. Skoro wieczór nastał rozkielznano konie i puszczono by się pały na polance, ludzie zaś rozniecili ogień i zabierali się do wypoczynku po uciążliwej całodzienniej drodze. Wpierw jednak Andrzej porozstawiał czaty, które miały się zmieniać co parę godzin, gdyż obawiał się słusznie nocnego napadu.

Cisza zaległa obozowisko; wszyscy posnęli, oprócz straży, tylko las szumiał złowrogo; ludzie stojący na czatach wyłęgali słuch na każdy szelest, lecz do uszu ich dochodziły jedynie zwyczajne odgłosy nocy.

Noc letnia minęła szybko; już przez gałęzie zaczęła przelagać błada jasność, zwiastująca świt, kiedy podróżnych przebudziły jakieś okrzyki, rozlegające się wśród zarośli.

— Łapaj! Bij! krzyczały strażę.

Pan Halczyński i Andrzej porwali się na nogi. Z początku nic dojrzeć nie było można w szarem świetle porannem, kilka strzałów huknęło w gęstwinie, a okrzyki wciąż się rozlegały.

Wszyscy w obozie porwali się do broni. Tymczasem niebo rozjaśniało się coraz bardziej; a w tem bladym świetle Andrzej ujrzał swoich ludzi ucierających się z kilkunastu opryszkami. Walka jednak niedługo trwała; wkrótce napastnicy pierzchnęli, zostawiając poległych towarzyszy.

Niebawem Semenکو zbliżył się do Andrzeja,

— Paniczu—rzekł—pojmałiśmy jednego hultaja, ot tam leży pod drzewem związany, co z nim każecie zrobić? Najlepiej zaraz go na gałęź...

— Poczekaj—przerwał Andrzej—od niego dowiemy się o Szpaku; będzie musiał zaprowadzić nas do jego obozu. Tobie zostawiam wybadanie go.

— Bądźcie spokojni, paniczu, już on mi wszystko wyśpiewa jak go nastraszę szubienicą.

To mówiąc Semenکو oddalił się, lecz niedługo powrócił zadowolony.

— A co, nie mówiłem? Pod strachem wszystko wygadał: należy do watahy Szulaka, który znajduje się ztąd niedaleko, Szpak zaś rozłożył się obozem o parę godzin drogi, w jarze, do którego obiecuje nas zaprowadzić.

— Szulak — powtórzył Andrzej — chcę się z nim spotkać! Każ siodłać konie, ruszamy w drogę. A powtórzywszy Halczyńskiemu zeznania hajdamaki, dodał:

— Przedewszystkiem trzeba się dostać do obozu Szulaka, bez straty czasu ruszajmy dalej.

— Masz waszność słuszność — odparł Halczyński, ja zgadzam się na wszystko.

Wyruszone więc w drogę, pod przewodnictwem jeńca, który szedł otoczony strażą, jechano wąską ścieżką wśród zarośli; aż w końcu ścieżka poczęła wic się pomiędzy dwoma skalnymi ścianami, tworząc ciasną szyję. Wreszcie ukazała się nie wielka kotlina, otoczona zewsząd skałami i lasem; na dnie jej widać było obozowisko rozbójników. Widocznie czuli się tam tak bezpieczni, że nie rozstawili straży, a skoro ujrzeli jeźdźców, kilku z nich rzuciło się, chcąc dać znać towarzyszom, lecz jeniec począł do nich krzyżeć i machać rękami, by byli spokojni, a czynił to dlatego, że Semenکو trzymał mu pistolet przy głowie mówiąc, że jeśli ich spotka co złego ze strony hultajów, to on dostanie kulą w łeb.

Nie zaczepieni więc dostali się do kotliny a Andrzej natychmiast zapytał najbliższ stojącego rozbójnika;

— A gdzie wasz ataman. Chcę się z nim widzieć.

Ton mowy zaimponował trochę zbójcom; ten i ów się zbliżył i począł przypatrywać szczupłemu pocztowi, który nie bał się iść prosto w gardziel nieprzyjacielowi, nie wiedzieli co o tem myśleć, w końcu doszli do wniosku, że kiedy on tak śmiało gada, to widać się nie boi.

— Poco wam do atamana? — zapytał jeden z nich, chłop olbrzymi i obrośnięty, jak niedźwiedź, spoglądając z podełba na przybyłych.

— Cóżto, będę się tobie opowiadał? — odparł Andrzej. Nie z tobą będę gadał, jeno z nim samym.

Pomiędzy rozbójnikami rozległ się głuchy pomruk, poczęli się skupiać i otaczać kołem szczupły orszak.

— Paniczu, źle z nami — szepnął Semenکو, oni nas chcą obsaczyć.

— A co tam się dzieje? — rozległ się nagle jakiś głos donośny, w którym Andrzej poznał głos Szulaka, i w krótkce sam watażka ukazał się wśród gromady zbójców.

— Jakież Łaszki tu przyszli i chcą się z wami widzieć, bałku — odrzekli rozbójnicy.

— Hej, a dać ich tutaj, niech im w oczy zajrzą!

Kilku opryszków rzuciło się, a chwyciwszy konie za uzdy, poprowadziło nowoprzybyłych do watażki, ten ujrzawszy Andrzeja zaśmiał się, mówiąc:

— A to dopiero spotkanie! góra z górą!

— Chciałem widzieć się z tobą, mości Szulaku, w pewnej ważnej sprawie, ale mię twoi podkomendni nie chcieli puścić — odrzekł Andrzej, witając go skinieniem głowy.

— Taki mają rozkaz — odrzekł z uśmiechem Szulak, który zdawał się być rad, że może pokazać swoją władzę Andrzejewi, który go widział niegdyś zbiedzzonego i opuszczonego na drodze. A to co za szlachcic z tobą? — zapytał, przyglądając się Halczyńskiemu.

— To mój sąsiad, któremu towarzyszę do obozu Szpaka.

— Pewnie z wykupem? — spytał Szulak.

Tymczasem wśród gromady rozbójników powstały znów szmery i pomrukiwanie.

— Oni dwóch naszych zabili dziś w nocy — ozwało się kilka głosów.

— Prawda to? — spytał Szulak, brwi marszcząc i zwracając się do Andrzeja:

— A ja zapytam z mojej strony: cobyście zrobili, gdyby was nocą napadnięto w lesie? — odparł Andrzej nie tracąc pewności siebie. Pewniebyście nie wdawali się w rozmowy z napastnikami, tylko posłali im parę kul? Otóż i my tak samo zrobiliśmy.

— Niema co mówić, dobra odpowiedź — rzekł Szulak śmiejąc się. A teraz zsiądźcie z koni i opowiedzcie mi, pocóżcie przyjechali.

Andrzej i Halczyński zsiadli z koni i poszli za Szulakiem. Nieopodal po osłonę wiszącej skały było urządzone coś w rodzaju mieszkania. Dach i dwie ściany tworzyła skała, trzecią zaś ścianę urządzone pościananych napręde drzew. Wejście osłaniał bogaty dywan, widocznie gdzieś zrabowany; wewnątrz tak samo widać było makaty i inne sprzęty, dostarczone przez rabunek.

Szulak starał się być uprzejmym, zaprosił swoich gości by usiedli, poczem Andrzej opowiedział, co ich do niego spro-

wadziło, prosząc o pomoc w odszukaniu pani Halczyńskiej i Basi.

— Nie tak to łatwo, jak wam się zdaje — odrzekł watażka — bo Szpak całe gromady brańców pędzi za Dniestr, by ich sprzedać Tatarom. Nie wiem czy już nie wyruszył.

— W takim razie wasza pomoc, panie pułkowniku będzie nam tem potrzebniejszą, za którą ja będę się starał podziękować w miarę możliwości, ofiarując sto dukatów dla was i dla waszych podkomendnych — rzekł Halczyński.

Watażek podchlebiła widocznie nazwa pułkownika, uśmiechnął się z zadowoleniem i pragnąc okazać się wspaniałomyślnym, rzekł:

— Ja tam dla siebie nic nie potrzebuję, bo mam dosyć z łaski Boga i szabli własnej, ale dajcie dla moich chłopców, żeby mieli za co pocieszyć się po stracie towarzyszy, których zabiłście tej nocy. Ja zaś jak co zrobię, to zrobię przez życzliwość dla pana Andrzeja, ku któremu od pierwszego wejrzenia czułem wiele przyjaźni, a teraz piję za jego zdrowie.

To mówiąc, watażka wychylił srebrny puchar, napełniony winem, po którym stał się jeszcze hojniejszym w wynurzeniach przyjaźni. Andrzej zaś był zmuszonym dziękować za uprzejmość, w duszy jednak myślał:

— No, no, taki przyjaciel nie przynosi wiele zaszczytu. Szulak, który pomimo, że wypił niemało wina, dostrzegł na twarzy Andrzeja myśl ową, ozwał się po chwili z miną nieco szyderczą:

— Sądzisz waszmość, że nie wiem, coś w tej chwili pomyślał? Oho, wiem dobrze, rzekłeś w duszy: „Co taki zbój, którego szubienica czeka, narzuca mi swoją przyjaźń, kiedy ja go o to wcale nie proszę.” Ale zapominasz, że czasem i taki hultaj może poratować w złej przygodzie. Niedługo mówiąc, zna mię dobrze pan Olszewski z Balicza, komisarz pana Sieniawskiego, żyje on w najlepszej zgodzie ze wszystkimi pułkownikami Palejowymi, kiedy wypadnie nam przejść przez jego włości, zawsze nas gościnnie przyjmie, to też i my odwdzięczając się, stajemy mu nieraz w przygodzie.

— Omyliłeś się, waszmość, posądzając mię, że gardzę twojemi życzliwemi usługami, za które jestem ci bardzo obowiązany, ale jeśli mam być szczerym, to powiem, że nigdy bym nie naśladował pana Olszewskiego i nie bratałbym się, tak jak on z... no, z waszymi współbraćmi na niekorzyść swoich sąsiadów, którym posyła nieraz zbójcekie oddziały, by im pustoszyli włości \*).

Andrzej wypowiedział te słowa spokojnie, nie bacząc na przełknięte spojrzenia Halczyńskiego, oraz na gniewne zmarszczenie brwi Szulaka, który zrazu miał ochotę się rozgniewać, ale po chwili rozśmiał się głośno, mówiąc:

— Gdyby mi tak powiedział kto inny, tobym mu nie darował, ale na waszmości się nie gniewam, sam nawet nie wiem dla czego. Ale pamiętaj, żebyś Szpakowi czegoś podobnego nie powiedział, bo on ma inną naturę; jest dziki i nieokrzesany i nie zna się zupełnie na grzeczności, więc radzę ci po przyjacielsku, byś był z nim ostrożny.

Andrzej podziękował mu za radę, poczem ułożono, że Szulak da kilku swoich najzaufańszych ludzi, pod osłoną których Andrzej i Halczyński, mieli się dostać do obozu Szpaka.

— Powiedźcie mu, że odemnie przybywacie, a będziecie dobrze przyjęci — rzekł na pożegnanie watażka. — Tylko spieszcie się, bo może już wyruszył ku Jahorlikowi.

## X.

Pomimo pośpiechu nasi podróżni zastali już obozowisko Szpaka pustem; wyruszył widocznie przed kilku godzinami, gdyż ogniska jeszcze nie ostygły. Można sobie wyobrazić zmartwienie Halczyńskiego i Andrzeja, skoro ujrzeli, że przybyli zapóźno.

— Trzeba gonić za nimi! — zawołał Andrzej, otrząsnawszy się pierwszy z przygnębienia. — Wszystko wskazuje, że niedawno stąd wyruszyli.

Kilku ludzi Szulakowych zgodziło się jechać aż do Jahorlika, gdy pan Halczyński przyobiecał hojne wynagrodzenie, reszta powróciła do obozu.

Podróż nie szła szybko, gdyż bezustannie trzeba było przebywać przepaściste jary, schodzące ku Dniestrowi. Po drodze mało spotykali wsi zamieszkałych, nie było kogo zapytać o Szpaka. Jechali cały dzień, na noc rozłożyli się na kilkogodzinny wypoczynek w niewielkim jarze, ale ledwie świt zaróżowił niebo, puścili się w dalszą drogę. Wreszcie następnego dnia dostali wieść o Szpaku, od ludzi zamieszkujących futor, gdzie watażka zatrzymywał się dla napojenia koni przed paru godzinami. Postanowili natychmiast jechać, zaledwie jednak wyruszyli, od wschodu ukazała się wielka czarna chmura, z miedzianym odcieniem po brzegach, sunęła szybko i wkrótce pół nieba okryła. Podróżni wyjechali właśnie z wielkich puszczy, ciągnących się pasmem wzdłuż Dniestru, na bardziej już otwartą przestrzeń, która za Mohylowem przechodziła w prawdziwy step.

Gdy weźmiemy mapę ziem ukraińskich z owych czasów i spojrzymy na bieg Dniestru, przekonamy się, że ten płynąc ku morzu Czarnemu w różnych zakłomach i skrętach nagle zawraca ku południowi, a wpadająca do niego rzeczka Jahorlik, tworzy w tem miejscu kąt, gdzie leży miasteczko Jahorlik. Za tym kątem Dniestr płynie dalej ku morzu, rozgraniczając step Uryjski, czyli ziemie Tatarów Lipków, wygnanych tam po ustąpieniu Turków z Kamieńca od ziem Tatarów Oczakowskich, z miastem Duboszarzy, stolicą okręgu należącego do hanów krymskich w XVIII w. Miasteczko Jahorlik posiadało oddawna smutną sławę; tam to Tatarzy uciekając za Dniestr z jasyrem, zatrzymywali się, by się nim dzielić, tam następowały zazwyczaj rozdzierające pożegnania pomiędzy rodzinami, które gwałtem rozdzielano, tam matki rozpaczliwie czepiały się swoich dzieci, które im wydzierano, by je wywieźć kędyś do Carogrodu, a ziemia tam przesiąknięta łzami nieszczęśliwych brańców. Szpak za przykładem Tatarów, prowadził również swój żywy towar do Jahorlika, a droga, którą podążał tedy, do dziś dnia zwana jest wśród ludu, Szpakowym szlakiem; znaczą ją gęsto kurlany, świadczące, iż wielu jeńców marło w czasie tej wędrówki z trudów i rau.

Skoro tylko minęli Jampol, koło którego Dniestr tworzył porohy skalne, podróżni nasi najeli czółna w Cekinówce i puścili się z biegiem Dniestru ku Jahorlikowi. Wybrzeża, wzdłuż których płynęli były zupełnie samotne, skoro minęli Raszków, otoczyła ich głucha pustynia; step bezbrzeżny, porosły wysoką trawą, kołysaną wiatrem, rozciągał się jak okiem zasięgnąć po obu stronach Dniestru, kilka razy Tatarzy Lipkowie próbowali zacześcić ich z przeciwnego brzegu, ale przyjęci należycie uchodzili natychmiast w step, kilka razy zagradzały im drogę porohy i skały, naówczas trzeba było czółna przeciągać po wybrzeżu. Wreszcie czwartego dnia tej uciążliwej i niebezpiecznej podróży, ukazał się im z daleka Jahorlik. Okrzyk radości wydarł się z ich piersi; natychmiast wysłano naprzód jednego z pachółków, aby się dowiedział czy Szpak jeszcze nie przybył do miasta, ten wkrótce powrócił z wieścią, że watażki jeszcze nie ma, ale że lada dzień jest spodziewany, i że już moc bogatych Tatarów przybyło z tamtego brzegu, by się zaopatrzyć w niewolnika.

— W sam czas przybyliśmy — rzekł Andrzej do Halczyńskiego. Niedługo i Semenکو z końmi nadciągnie.

Udali się więc do miasta, a raczej do nędznej mieściny, jaką był wówczas Jahorlik i tam z trudem znalazłszy jaką taką gospodę, postanowili czekać na przybycie Szpaka. Miasteczko pełne było Tatarów i Turków, którzy przybyli tu jak na jarmark, oczekując na żywy towar.

Nazajutrz rano przybył Semenکو, wraz z kilku pachółkami i końmi. Około południa w mieście zrobił się ruch wielki, zamykano sklepy i wszyscy poczęli się gromadzić na placu targowym.

\*) Historyczne.

— Co to takiego? — spytał Andrzej.

— Szpak idzie, wiedzie jasyr — odpowiedziano.

Andrzej i Halczyński wsiedli natychmiast na koń i ubrawszy swoich ludzi podążyli naprzeciwko nadciągającemu Szpakowi.

Wkrótce rozległ się odgłos bębna i piszczałki, poczem szeregi spis zabłyszczały w słońcu. Na czele jechał sam Szpak. Powierzchność jego czyniła wrażenie dziwnej mieszaniny, na twarzy malowała się dzikość i chytrość zarazem; był już nie młody z głową dużą, o niskim czole, na które spadały szpakowate włosy, oczki małe, patrzyły przebiegle i okrutnie.

Za nim jechali podwładni mu dowódcy celniejszych oddziałów, bo Szpak tytułował się pułkownikiem i przewodził nad kilkutysięczną gromadą opryszków.

Przed kilku laty uwijał się on po Podniestrzu, od Bałty aż do Kamieńca, ale później gdy wojska zaczęły go ścigać i nękać, przeniósł się na step multkański i stamtąd czynił wycieczki na drugą stronę Dniestru. Teraz prowadził z sobą dość liczną zdobycz. Skoro przeszła starszyna, otoczeni hajdamackimi spisami ukazali się jeńcy, szli powiązani po dwóch; byli pomiędzy niemi i chłopci i szlachta uboższa, a wszystko ludzie młodzi, rośli i silni, bo tacy tylko mieli cenę u Tatarów. Za nimi szły kobiety i dzieci; niektóre z nich, to jest takie, które więcej przedstawiały wartości, jechały na wozach; reszta zbiedzona i zmęczona, wędrowała pieszo.

Podróżni nasi stanęli umyślnie przy drodze, patrząc z bólem w sercu na ten smutny pochód. Andrzej zaciskał pięści mówiąc do Halczyńskiego:

— Ach, że też mogą się dzieć u nas podobne rzeczy i dotąd pozwalają temu zbójowi sprzedawać ludzi, jak towar, bisurmanom! Gdybym ja miał dziś stu żołnierzy, zarazbym uderzył na niego i odbił wszystkich tych nieszczęśliwych.

— Stu żołnierzy byłoby za mało — odrzekł Halczyński, kiwając głową smutnie — inaczej dawnoby już go pojmano; on ma kilka tysięcy jak słyszałem.

Przeszli już jeńcy piesi; Halczyński napróżno upatrywał między nimi żony i córki. Wreszcie ukazały się wozy: siedziały na nich kobiety i dzieci, wszystko okryte nędzną odzieżą. Nagle z jednego wozu rozległ się okrzyk długi, żallosny:

— Tatusiu, tatusiu!

Halczyński zdrżał.

— To Basia! — zawołał, rwąc się naprzód przez spisy hajdamackie — na Boga, to głos mojej córki!

Andrzej pomknął konia za nim i ujrzał Basię, stojącą na wozie, okrytą w połowie jasnymi, rozpuszczonymi włosami, wyciągającą do nich obie ręce.

Zrobiło się zamieszanie, opryszki nastawili groźnie spisy, nie puszczając do jeńców.

— Puśćcie nas, przywozimy okup! — wołał Andrzej.

— To idźcie do pułkownika, bo on powiedział, żeby każdego co bez jego pozwolenia przybliży się do brańców, zaraz spisą pchnąć.

Trzeba więc było udać się do samego Szpaka, który, ujrawszy ich przed sobą, zapytał grubym, ochryplym głosem:

— Co to, z wykupem przybywacie?

— Tak — odrzekł Halczyński. — Za moją żonę i córkę.

— Ha, jak dobry dacie okup to je odbierzecie — odparł Szpak, z miną obojętną spoglądając przed siebie.

— Pułkowniku, dla mnie żona i córka milsze nad wszelkie bogactwa — odrzekł Halczyński — ale skądże mogę ofiarować wielki okup, kiedy zniszczyliście mi całe mienie.

— No, no, wiem ja dobrze, wszyscy wy tak mówicie — odparł Szpak grubijańsko.

Andrzej w czasie tej rozmowy ścisnął rękojeść szabli, bo gniew miotał nim na widok tego zuchwałego opryszka i tylko myśli, że wszelki krok gwałtowny mógł źle wpłynąć na los Basi i pani Halczyńskiej, powstrzymywała go od wybuchu.

Szpak inaczej trochę zaczął mówić, kiedy się dowiedział, że Szulak ich do niego przysłał i już nie stawał tak wygórowanych wymagań. Wkrótce układ został zawarty i watażka pozwolił Halczyńskiemu wynaleźć pomiędzy jeńcami żonę i córkę. Gromada tych nieszczęśliwych zatrzymała się na placu targowym; otoczyli ją rozbójnicy ze spisami. Skoro Halczyński wraz z Andrzejem oraz jednym z opryszków przydanym im przez Szpaka, zbliżyli się do nich, rozstąpili się, dając im przejście.

Widok jaki się ich oczom przedstawił był zaiste okropny. Jeńcy mieli stopy pokrwawione, matki wynędzniałe z dziećmi u łona, wyciągały ręce błagając o kawałek chleba, bo hajdamacy o tyle tylko ich żywili, by z głodu nie pomarli..

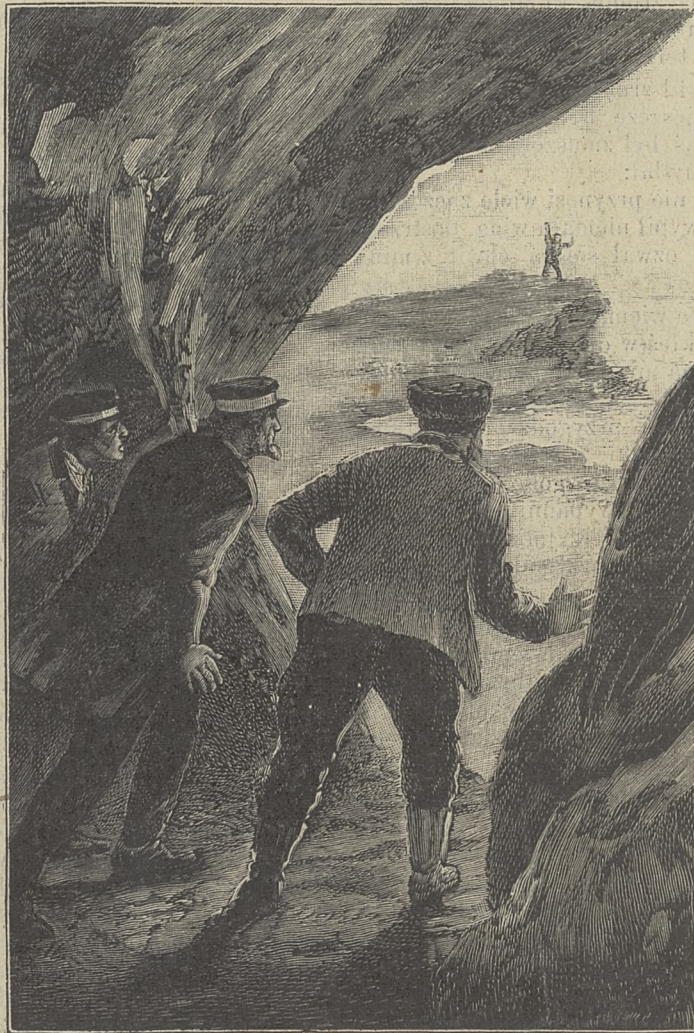
Halczyński i Andrzej szli dalej, mijając wszystkie te zbiedzone istoty, zbliżyli się wreszcie do wozów; minęli jeden, drugi, kiedy znów do uszu ich doszło wołanie: „Tatusiu, tatusiu!”

— One są tam! — krzyknął Halczyński, rzucając się do jednego z wozów. Za chwilę Basia leżała w jego objęciach, a on okrywał ją łzami i pocałunkami.

— Gdzie matka? — zapytał wreszcie z niepokojem.

— Tu jestem — ozwał się łagodny głos pani Halczyńskiej, która wyciągnęła ręce do męża.

(d. n.)



Chodźcie! Chodźcie prędko!... wołał bosman.

# ŚFINKS LODOWY,

przez

JULIUSZA VERNE'A,

przekład M. D.

(Dalszy ciąg)

— Chodźmy odszukać go—wierna to nam dusza, i mimo wszystkiego niepodobna nie uznać jego zalet — rzekł kapitan.

— Boję się — odpowiedziałem — iż nie zechce połączyć się z nami teraz, gdy już wszyscy wiedzą, jak wstrętny postępek plami jego przeszłość. Nieszczęśliwy, on nad tem boleje serdecznie, mimo, iż mu tłómaczyłem, że gdyby los był jego wybrał, nie zaś Ned Holta, któremu Prym w swych Pamiętnikach dał nazwę Parkera, on Peters, musiałby zginąć tak samo dla utrzymania przy życiu drugich.

— Więc Peters już dawniej zwierzył się z tem do pana? — zapytał Len Guy.

— Tak jest, opowiedział mi to jeszcze na Halbranie.

— I pewny jestem, że nie wspomniałeś pan o tem do nikogo. Jakimże więc sposobem Hearne zbadał tę tajemnicę?

— Było to i dla mnie zagadką. Zestawiając wszakże wypadki, doszedłem do przekonania, że w chwili gdy Peters, chcąc ulżyć wyrzutom sumienia, sam przyszedł powiedzieć mi wszystko, okno w mej kajucie wychodzące na pokład było otwarte. Hearne siedzący tam właśnie przy sterze, musiał podsłuchiwać tak uważnie, iż nie dopilnował nawet swego obowiązku, czem naraziwszy statek na zatonięcie, odsiedzieć musiał zasłużoną karą, wyznaczoną mu przez porucznika.

— Ach, więc to było wtenczas! — zawołał Jem West.

— Bezwątpienia tak być musiało. Posiadłszy zaś już raz tajemnicę metysa, nikczemnik ten chciał ją następnie zużytkować na swą korzyść, jednając sobie przyjaźń Marcina Holta, który mu był niezbędnym, jako doskonale obeznany ze sztuką użycia żagli. Bo, że Hearne już od pierwszej katastrofy układał plan wykonanej dzisiaj ucieczki, o tem również nie wątpię.

Rozmawiając tak doszliśmy do wybrzeża, metys siedział nieruchomo wsparty o lodowiec. Skoro nas jednak zobaczył zerwał się szybko w zamiarze ukrycia się, lecz Hurliguerly i Francis przemówili do niego serdecznie, a kapitan przyjaźnie podał mu rękę, dopytując o postrzał. Metys stał chwilę zakłopotany, nie śmiał przyjąć ręki, lecz w milczeniu przyłączył się do naszej gromadki.

Odtąd nie było już wzmianki między nami o zajściach na Grampiusie. Szczęściem postrzał w lewe ramię nie był niebezpieczny, kula przeszła na wylot przez mięśnie, nie naruszając kości. Po zatałowaniu ubiegu krwi i obandażowaniu zagłowem płótnem, w zdrowem tem ciele rana tak prędko się zagoiła, że w parę dni, jakby nigdy nie, pracował znów Peters jak dawniej za czterech. A pracy tej nie brakło. Zima, sroga zima antarktyczna nadejść mogła lada chwilę; temperatura obniżała się ciągle, słońce zakreślało maleńkie swe koło już nad samym horyzontem. Trzeba było poczynić różne przygotowania, na tyle długich, ciemnych, mrozem piekących miesięcy.

W około wybrzeża coraz więcej gromadziło się lodowców, ilość wszakże unoszonych prądem dalej ku północy, była nieprzeliczoną.

— Wszystko to jest materiały, z którego się buduje zapora lodowa — objaśnił gadatliwy zawsze Hurliguerly — i jeśli ten hultaj Hearne nie zdoła pospieszyć, może już zastać bramy fortecy zamknięte, nie posiadając klucza do ich otworenia.

— Więc sądzisz, że nasze tu położenie jest lepsze — zauważyłem.

— Nie życzę nikomu nic złego, nawet temu zdrajcy. Może mu też szczęście sprzyjać, choć bardzo o tem wątpię. Pora już jest późniejszą, a jeśli go lody otoczą, pomyśl pan tylko, jakie straszne czekają ich wszystkich męczarnie... Czyż nam nie bezpieczniej tu na łądzie, gdy mamy jeszcze czem się pożywić i gdzie przed zimnem schronić?...

Hurliguerly miał słuszność; takiego zdania był też Len Guy i Jem West.

Przez następne dni do 17 lutego, pracując jeszcze nad urządzeniem się w grocie podjeśliśmy też kilka wycieczek w głąb tego ładu antarktycznego, na którym mieliśmy pozostać Bóg wie jak długo.

Wszędzie ziemia jałowa i twarda, wszędzie pustka zupełna. Niektóre tylko okolice wybrzeży pokryła

twarda, kolczasta roślina, służąca za pożywienie olbrzymim żółwiom, które się tam w wielkiej trzymały liczbie.

Po dość pochyłej spadzistości weszliśmy raz na wysoką, do 800 stóp górę. Z wycieczki tej obiecywaliśmy sobie wiele. Zawód wszakże był zupełny. Jak oko zasięгло, wszędzie te same wzgórza czarne i nagie; nigdzie znaku życia ludzkiego. Innym znów razem w blasku południowego słońca, przekonaliśmy się z pomocą lunety, że niewyraźne owe linie, spostrzeżone już dawniej w stronie wschodniej, zakreślały rzeczywiście wybrzeże dość obszernego ładu. Posiadając łódź można by łatwo podpłynąć do niego; na cóżby się jednak zdało? Prawdopodobnie i tam pustka zupełna, i tam żyćby nie mogli ci, których przybyliśmy szukać w tych stronach. A jednak ziemie te leżały na tejże samej prawie szerokości co Tsalal, która przed zburzeniem tak bogatą była w roślinność, iż mogło żyć na niej tysiące krajowców, a przez 11 lat



Peters uniósł bezwładne ciało człowieka...

przebywali bez udřeceń głodu i zbytniego zimna, Wiliam Guy i jego towarzysze.

Dnia tego zaproponował kapitan nadanie nazwy ładowi, na który nas fatalizm losu rzucił. Imię „*Halbrand Land*,” zdało nam się wszystkim najstosowniejsze, ku pamięci straconego naszego żaglowca, a łącząc w myśli dwa pokrewne sobie wypadki, ochrzcziliśmy mianem *Orion Sund*, cieśninę, rozdzielającą owe dwa łady podbiegunowe.

Ilość wielka ptactwa i zwierząt morskich znajdowanych u wybrzeży, zachęciła nas do łowów. Świeże mięso przysposobione przez Endirota. smakowało nam niezłe, a ponieważ łatwo było pochwycić żywe pingwiny, sporą ich liczbę zamknęliśmy w grotcie, przeznaczonej z początku dla łodzi. Tam też złożyliśmy, nie bez trudu przyciągnięte, olbrzymie żółwie, których waga dochodziła kilkuset funtów na sztukę. Zwierzęta te słusznie przez kogoś wielbładami pustyni zwane, mają w gardzieli swojej worek, w którym zachowują na czas dłuższy sporą ilość wody słodkiej, a gdy mięso ich jest smaczne i posilające, same obejść się mogą dłuższy przeciąg czasu bez pożywienia.

Nie gardząc też mięsem fok, robiliśmy znaczne zapasy ich tłuszczu obliczając, że gdy nadejdzie zima i ciemna noc podbiegunowa, materyał ten palny odda nam nieobliczone usługi.

Jakkolwiekbydź przyjmowaliśmy nasz los z rezygnacją i męstwem, niemniej przeto położenie były okropne. Kto wie czy straszne zimna, o których wyobrażenia słabe zapewne tylko dawała pojęcie, organizm nasz zdoła przetrzymać? Kto wie czy ziemia ta nie będzie wkrótce grobem naszym? A znowu, jeżelibyśmy przeżyli tę porę, jakimże sposobem wrócić do świata? O zbudowaniu łodzi, nie mogło przecież być mowy z braku wszelkiego materyału, a czy tamci którzy odplynęli, zechcą nam przysłać pomoc, a przedewszystkiem czy będą mogli? O dobrych chęciach i pamięci Marcina Holta, nie wątpiłem, on mimowoli dostał się na łódź, on pewno nie chciał nas zdradzić. Ogólnie jednak biorąc warunki, mieliśmy słaby tylko promyk nadziei, by rzeczywiście dopłynął szczęśliwie do jakiegoś ładu.

Rozmowa nasza obracała się przeważnie około tych kwestyi, i przypuszczaliśmy już możność ostatecznej próby przebycia tych przestrzeni na lodowych płaszczyznach tak zwanych „*ice-fields*.” Pora jednak ku temu nie nadeszła jeszcze, powierzchnia morza była wolną, mroz nie ściał jej dotychczas.

Aż nagle 19-go lutego zdarzył się wypadek tak nadzwyczajny, że tylko miłosierdziu Opatrzności mogliśmy go za wdzięczyć.

Było jeszcze rano. Endirot przysposabiał nam śniadanie; Hurliguerli wyszedł przed chwilą, metys jak zwykle bardzo wczesnie opuścił grotę. Siedzieliśmy w milczeniu, gdy doszło uszu naszych dalekie nawoływanie. Wybiegliśmy przed grotę. Na wzgórzu wysuniętego przylądka stał bosman.

— Chodźcie prędko! Chodźcie! — wołał, poruszając żywo rękoma.

— Cóż tam widzisz? — zapytał kapitan.

— Łódź!... łódź płynie!...

— Naprawdę! Łódź!... tam, tam daleko!... Widzicie ją? — wołałem w najwyższym uniesieniu.

— Może to łódź Halbranu — rzekł Len Guy — może prąd rzuca ją z powrotem.

— Nie, to nie ona! — zaprzeczył stanowczo Jem West. Zarówno kształt jej, jak wielkość różni ją bardzo od naszej. Nie ma żagli, nie widzę by kto wiosłował!...

— Zdaje się być pustą — potwierdziłem — widocznie fala tylko ją niesie!...

— Trzeba jakim bądź sposobem dostać się do niej — zawołał Len Guy — ale ta znaczna odległość, i zdaje się, że płynie jeszcze dalej, za chwilę zginie dla nas!... Boże mój, co począć, co począć!...

Nagle bliski plusk wody zwrócił z tę stronę nasze spoj-

zenia. To Dick Peters zrzuciwszy wierzchnie ubranie, skończył do morza, kierując się ku łodzi.

Głośny okrzyk wyrwał się z naszych piersi. Metys objął nas przelotnym spojrzeniem i silnym ruchem pchnął się naprzód. Zręczność i siła tego człowieka nie znajdzie równej sobie. Patrząc na jego ruchy pewne i miarowe nie wątpiłem, że dosięgnąć zdoła łodzi. Jakże jednak sobie poradzi by ją dostać do brzegu, skoro nie znajdzie w niej wiosła? Przyholować ciężar taki milę przeszło, byłoby niepodobnięstwem nawet dla niego.

— Zejdźmy tam niżej! — rzekł kapitan. — Z łodzią czy bez niej, Peters tam tylko wrócić może.

— Ma już ją! ma! — krzyknął bosman. Brawo Dick, brawo!

Dosięgnawszy łodzi, metys wznosił się do połowy ciała, silną ręką uchwycił za krawędź, przechylił ją znacznie ku sobie, tak, iż sądziłem, że się przewróci, gdy on leciuchno jak akrobata wciągnął się do jej głębi, poczem siadł, by zaczerpnąć powietrza.

Nagle krzyknął dziwnym głosem i pochylił się na dłuższą chwilę.

— Cóż on tam znalazł? — pytaliśmy jeden drugiego.

— Niezawodnie ucieszył się wiosłem — objaśnił Hurliguerly — bo oto bierze je do ręki i z całych sił pracuje. Dzielnny, dzielny Dick!

— Spieszmy tam niżej! — zawołał znów Len Guy — podążając szybko po wybrzeżu zasłanem gęsto czarnymi odłamami kamieni.

— Przypływ morza dopomaga mu teraz — myślałem, biegnąc za drugimi.

— O jakie trzysta sięgów dalej, przy małej zatoce zatrzymał nas kapitan. Wprost ku nam płynęła łódź. Teraz sama fala niesła ją do brzegu. Już jest nas blisko! Peters pochylił się i unosi bezwładne ciało człowieka.

— Brat mój! Brat!... — jęknął strasznym głosem kapitan.

— Żyje!... — upewnił Peters.

W chwilę później Len Guy obejmował swego brata w serdecznym uścisku. Trzech jego towarzyszy leżało jeszcze nieruchomo w łodzi.

## Historia jedenastu lat.

Przeniesiony do groty Wiliam Guy i trzech marynarzy: Tronkle, Roberts i Coven, wrócili prędko do przytomności. Ciepła porcja bulionu i kieliszek koniaku pobudziły na nowo do życia ich organizm, wyczerpany jedynie brakiem pożywienia.

Powitanie tak długo rozdzielonych braci, było widokiem do głębi serca wzruszającym, i gdy łyzy radości zwiływały oczy nasze, usta szeptały dziękczynną modlitwę do Stwórcy — i nie pytając już, co nam przyszłość zachowuje, oddaliśmy się bezpodzielnie obecnej chwili radoszej.

Po pierwszym wybuchu uczuć pragnął Wiliam poznać warunki naszej podróży aż do tak odległego punktu kuli ziemskiej. Len Guy opowiedział mu wszystko kolejno, począwszy od spotkania lodowca z ciałem Watersona; a więc przybycie nasze do pustej już Tsalal, nadzwyczajną katastrofę z lodowcem, rozbitcie i zatonięcie naszego statku, dalsze unoszenie prądem i ostateczną zdradę części załogi już u brzegów Halbran-Landu.

Wracając do sił, Wiliam udzielił nam również szczegółów długich jedenastu lat, przeżytych blisko bieguna.

Gdy więc 8-go lutego 1828 roku, nie posądzając o zdradę Too-Wita, udał się z całą prawie załogą Oriona do osady Klock-Klock, na wyspie Tsalal, zostali wszyscy zasypani gruzami sztucznie potworzonych wzgórz, on znalazł się z kilkoma innymi jeszcze w miejscu, z którego szczęśliwie zdołał się wydobyć i schronić w jednej z głębokich jam, powstałych zapewne przez wykopanie owych olbrzymich brył steadyto-

wych. Aby ktoś inny jeszcze oprócz nich ocalał, nie przypuszczali nawet, przekonać się zaś o tem nie było możebne, z obawy przed nową napaścią krajowców, jak mu to metys opowiedział. Siedzieli więc tam ukryci, podczas gdy Prym z Petersem znajdowali się po drugiej stronie wąwozu, który przedzielał ten dziwny labirynt tsalalski. Było ich razem siedmiu, a mianowicie: Wiliam Guy, Waterson, Roberts, Couen, Trinkle, oraz zmarli niedawno Forbes i Lexton. Nie śmiejąc się ruszyć, widzieli wszakże wszystko, co się dookoła nich działo. Znany więc był im napad krajowców na Oriona, wysiłki obrony tych sześciu, którzy na nim pozostali, wreszcie straszny wybuch prochu i zupełne zniszczenie statku oraz śmierć tysiąca krajowców. Podczas jednak, gdy Prym z Petersem, jak wiemy, zdołali upatrzeć chwilę sposobną do ucieczki, oni nie mogli odważyć się na to, bowiem nazbyt wielki ruch panował nieustannie u najbliższego im wybrzeża. W każdym razie nadzieja, że zdołają prędzej czy później dopaść jakiej łodzi i porzucić tę ziemię, dodawała im siły do zniesienia nad wyraz przykrych chwil obecnej. Związać się bowiem jedynie orzeszkami, rwanymi z pobliskich krzewów, poczęli doświadczać w końcu strasznych boleści; aż najnie spodziewanej położenie ich uległo zupełnej zmianie.

Było to 22 go lutego, gdy głośne okrzyki „tekeli-li“ i „lama-lama“, wydawane przez biegnące w najwyższym popłochu tłumy krajowców, zwróciły uwagę ukrytych w czeluści rozbitków. Z początku nie mogli zrozumieć, co było przyczyną tak ogólnego przerażenia, aż wreszcie dojrżeli Sultana, wiernego psa Pryma, który towarzysząc tu swemu panu, nie został zabity; ale jakże straszny przedstawiał w tej chwili widok! Z najeżoną białą swą sierścią, z ziejącą paszczą, rzucał się w szalonym pędzie ku krajowcom wespół nagim, kłusując i rwąc ich ciało. Niewątpliwą było rzeczą, iż tym razem Sultana naprawdę dostał napadu wściekłości. Ubić chore zwierze nie było przecież rzeczą trudną dla tych ludzi, ale oni w zabobonnym strachu, który podniecała jeszcze biała barwa sierści psa, nie śmieli go dotknąć, a tylko jeden przez drugiego cisnęli się do łodzi, by opuścić bezpowrotnie wyspę. Nie wszyscy wszakże zabrać się mogli. Pozostała ich jeszcze znaczna liczba. Tu rozpoczynają się najokropniejsze sceny, jakich kiedykolwiek oko ludzkie było świadkiem. Bo gdy Sultana, trawiony swą chorobą, legł wreszcie martwy, udzielony ludziom jad wściekłości, w okropny sposób począł się u wielu objawiać. Nieszczęśliwi ci w szalonych męczarniach staczali walki między sobą, zaszczepiając w dalszym ciągu zarodek choroby. Trwało to jeszcze dni kilkanaście, a stos kości nieopodał wioski Klock-Klock, który zwrócił tam naszą uwagę, był smutnem cmentarzyskiem ostatnich krajowców na Tsalal.

Teraz Wiliam Guy i jego sześciu towarzyszy, zostawszy panami wyspy, rozpoczęli życie w łatwiejszych warunkach. Aby przedewszystkiem mogli czuć nad tem, co działo się na morzu, przenieśli się blisko brzegu. Dłuższy też czas spodziewał się Wiliam Guy, że zniknięcie jego nasunie w Anglii myśl podjęcia wyprawy w te strony, że może pospieszają mu z pomocą. Minęła wszakże dość ostra zima, wróciło znowu lato, a żaden okręt nie ukazał się na wodach. Powoli też zagospodarowali się dość wygodnie; zgromadzwszy pozostałe zwierzęta i ptaki domowe, nie zapominając o dość licznych jeszcze wówczas żółwiach, dopomagając sobie wreszcie rybołówstwem, nie zaznali głodu. Nieocnionej też wagi stały się dla nich pewne rośliny miejscowe, a mianowicie „Kochlearia“, której własności antiskorbutowe chroniły ich od tej choroby.

Wprawdzie zima nie była tam lekka, obok silnych mrozów, gwałtowne wichry i burze antarktyczne dadyby im się boleśniej we znaki, gdyby nie skóry ubitych zwierząt, które im pewną stanowiły ochronę.

Tak mijał rok za rokiem. Nadzieja powrotu poczęła słabnąć. Zbudował łożdź, podobną do tych, jakich używali krajowcy i puścił się na morze, aby przepłynąć koło biegunowe, byłoby wielkiem szczęściem dla nich, łożdź, kiedy oprócz swych kieszonkowych noży nie posiadała innych narzędzi.

Smutna rezygnacya została im jedynie, szczęśliwi o tyle jeszcze, że wszyscy żyli razem. Aż nagle w miesiącu maju roku zeszłego, ubył im jeden towarzysz. Było to w czasie licznego przyływu lodowców, gdy Waterson wyszedłszy nad morze, dla połowy ryb, nie wrócił więcej. Nie wiedziano co się z nim stało. I czy Waterson wypadkiem czy umyślnie odpłynął na lodowcu, miało na zawsze pozostać dla nas tajemnicą.

Stratę ukochanego towarzysza odczuł głęboko Wiliam Guy. Ale nieszczęście rzadko przychodzi samo. W kilka miesięcy później gwałtowne trzęsienie ziemi zatracając prawie ślad sąsiednich wysp zburzyło Tsalal i zniszczyło na niej wszelkie życie. Obawa powtórzenia się katastrofy opanowała rozbitków. To też gdy fala w parę dni później przyniosła pustą łożdź krajowców, Wiliam Guy uległ życzeniu pięciu swych towarzyszy i zabrawszy żywności ile tylko było można, wypłynęli na morze. Pora jednak okazała się źle wybraną. Prawdopodobnie w skutek owego trzęsienia, morze było strasznie wzburzone, a silny wiatr północny dał tak, iż oprzeć się mu nie było sposobu. Długie tygodnie płynęli, nie napotkawszy nigdzie ładu, aż wreszcie niedawno wyczerpani, z resztkami już tylko zapasów, dostali się na ziemię leżącą po drugiej stronie cieśniny, nazwanej przez was Orion-Sund. Grunt tam podobnie jak Halbran-Landu jałowy i pusty, nie przedstawiał oczywiście warunków do życia. Zrozpaczeni wsiedli więc znowu do łodzi. Wkrótce wszakże opuścili ich zupełnie siły; fala niosła ich to w tę, to w inną stronę. Stopniowo tracili przytomność, nie wiedząc nic już co się z nimi dzieje. I w tej to chwili Opatrzność dozwoliła, że bosman spostrzegł ich łożdź, a metys zdołał ją doścignąć, aby kochający się bracia odnaleźli się wreszcie na odległym zakątku Halbran-Landu.

### Sfinks lodowy.

W dwa dni później, nie pozostał już na owym lądzie antarktycznym ani jeden człowiek z załogi dwóch żaglowców. Bowiem 21 lutego wczesnym rankiem, łożdź obciążona trzynastu ludźmi i znacznym zapasem żywności, opuściła niegościnnie brzegi Halbran-Landu, kierując się ku północy.

Skoro tylko minęły pierwsze chwile wzruszeń i radosnego powitania, poczęliśmy naradzać się nad ważną dla nas wszystkich kwestyą powrotu, który wraz z posiadaniem łożdzi stał się znowu możliwym. A jeśli wracać to zaraz, bez straty jednej chwili! Jeszcze miesiąc cały mogliśmy liczyć względnej pogody, jeszcze miesiąc nim nadejdą mrozy, bylebyśmy tylko przebyli zaporę, byleby jeszcze zastać rybackie okręty. Wprawdzie nasuwała się poważna myśl, czy nie lepiej już przeczekać do wiosny, gdyśmy się tu urządzili, gdy mamy bezpieczne schronienie w grocie. Bezwątpienia żegluga wówczas przedstawiałaby mniej niebezpieczeństwa, ale znowu pobyt tutaj przez tyle ciężkich miesięcy, stał jako straszne widmo przed nami.

Godził się z losem — powiedziałem dawniej — tak, ale godzenie podobne, zależy od braku wyboru, od twardej konieczności, w której zmienić już nic niepodobna. A teraz, gdy mogliśmy wybierać, czyż nie naturalną było rzeczą, że dotarliśmy do powrotu, drogą, którą Hearne nas wyprzedził — tylko w warunkach o wiele korzystniejszych dla nas.

Po rozważeniu więc wszelkich „przeciw“ i „za“, pozostawiliśmy jeszcze ostatnią decyzję głosowaniu. Stary już, siwobrody kapitan Oriona był za najspieszniejszym powrotem, również Len Guy i Jem West nie lekali się skutków tej przeprawy; ze zdaniem ich godziłem się chętnie, co też uczynili zresztą wszyscy, prócz jednego bosmana, który stawał trudności, usiłując tłumaczyć, że ryzykujemy zbyt wiele, porzucając pewne dla niepewnego. Bo trzy do czterech tygodni, to nazbyt mało, na przebycie tak wielkiej przestrzeni wodnej, jaka rozkłada się między Halbran-Landem a kołem biegunowem; a czy będzie możebne nawrócić, gdyby zapora była już zamknięta, czy łożdź nasza wytrzyma się przeciwnie-

## NOWE KSIĄŻKI.

go prądu, z jakim musielibyśmy wtenczas walczyć? Mimo wszakże tych argumentów, którym przyznawaliśmy bezsprzecznie słuszności wiele, poczciwy bosman, uczyniwszy, co mu sumienie kazało, był gotów do tej podróży, choćby tylko dla tego, żeśmy jej wszyscy pragnęli.

Połączonemi siłami dokonaliśmy w kilkanaście godzin potrzebnych przygotowań, dla tego też już rano dnia 21-go lutego, jak rzekłem wyżej, mogliśmy opuścić wybrzeże Halbran-Landu, a płynąc zgodnie z wiatrem i prądem, nie dalej jak w poobiednich godzinach, wzrok nasz zaledwie wyróżniał odległe kontury tej ziemi.

Łódź, która nas wiozła, była jednym z owych statków, jakimi krajowcy zwykli się posługiwać do komunikacji między wyspami. Wiedzieliśmy z opowiadań Pryma, że łodzie ich bywały dwojakiego kształtu: jedne szerokie i płaskie przypominały nasze tratwy, drugie wąskie a długie—podobne do pirogów używanych przez dzikie plemiona wysp oceanu Indyjskiego. Do tych ostatnich właśnie należała nasza, i gdy długość jej wynosiła stóp czternaście, szerokość zaledwie sześć. Przód i tył mocno wzniesione, zabezpieczały od zalania falą, a kilka par wiosł pomagało żegludze. Mimo jednak, że krajowcy, nie znając zupełnie użytku i wyrobu żelaza, posługiwali się wyłącznie materiałem roślinnym, statki ich przedstawiały wyjątkową moc i trwałość. Użyte do wiązania łądy miejscowych roślin, o włóknach wielkiej sprężności, trzymały jak druty miedziane, podczas gdy żywica drzewna, którą zalane były szpary, nabierała w zetknięciu z wodą twardości metalicznej.

Wyrażoną w grubych zarysach na przodzie łodzi figura ryby *parakutą* zwanej, dość pospolitej w tych wodach, podała myśl przewzania tak naszego statku.

Oczywiście, większą część ładunku ocalonego z Halbranu, pozostawiliśmy na opuszczonym lądzie, zabierając ze sobą jedynie najniezbędniejsze rzeczy, obok możliwej ilości pożywienia i napoju. Na jeden tylko zbytek pozwoliliśmy sobie, a mianowicie na maleńki piecyk ustawiony w tylnym końcu łodzi i parę worków węgla do podniecienia ognia, skoro okazała się potrzeba ciepłego posiłku.

Tak więc, jeśli nam przyszło ostatecznie wrócić jeszcze na Halbran-Land, nie paliliśmy mostów za sobą. Grota czekała nas zawsze z całym urządzeniem i bogatym jeszcze zapasem pożywienia, które zabezpieczyliśmy wedle możności od wilgoci i zepsucia.

Przed samym odjazdem zatknął bosman chorągiew brytańską na najwyższym szczycie zajmowanych przez nas skał, co zdaleka musiałoby zwrócić uwagę każdego, ktoby przybył w te strony. Czy jednak oprócz naszych dwóch kapitanów odważy się prędko ktoś inny na podobną wyprawę, wątpiłem o tem bardzo.

Załoga „Parakuty”, licząc obydwóch braci Guy, porucznika, bosmana, mnie i resztę marynarzy z Oriona i Halbranu, liczyła 13 ludzi.

Trzynastka zatem, owa liczba kabalistyczna! Czy mieliśmy ją uważać jako przepowiednię powodzenia, czy też jako groźbę nowych zawodów?

(d. n.)

W księgarni Arcta ukazały się już wydawnictwa gwiazdkowe dla młodego wieku różnorodnej treści. Są tu Augusta Jeske'go, *Wypisy polskie*, na klasę wstępną i pierwszą, powiększone w tem nowem wydaniu, dziewięciem z kolei, a zalecone do użytku w szkołach okręgu naukowego warszawskiego.

*Początkowe wiadomości o ziemi*, kurs drugi geografii, do bezpośredniego użytku uczących się, p. Anny Nałkowskiej. Autorka przy układaniu tego kursu kierowała się temi samemi względami co w poprzednim licząc się z warunkami nauczania domowego. Mapki dodane do nich, mają na celu nie zastąpienie atlasu, ale wprowadzenie doń ułatwienia, orientowania się, przez ograniczenie ilości szczegółów, które w zwykłych atlasach są nie dość wyraźne, skutkiem licznych napisów i kolorowania granic różnych krajów. Uczący się, może z łatwością mapki te przerysowywać, a nawet powiększać.

Do czytania dla starszej młodzieży W. Przyborowskiego z krwawych dziejów pogańskiego Rzymu, pod tytułem: *Losy Cezara*.

Wernica, przekład z angielskiego słynnej powieści Green'a, *Brat ociemniały*, uwieńczonej nagrodą konkursową 1,500 dolarów.

Przekład z angielskiego Maryi Balińskiej, powieść *Wśród chmur i słońca*, utalentowanego pisarza J. Amstronng'a.

Gordona Stables, *Na dalekiej północy*, przygody w Grenlandyi podróżników do bieguna, dedykowana Nansenowi.

*Wycieczka w góry* Teresy Jałowigi, ciekawe opowiadanie o Ojcowie i jego okolicach, na tle swojskich wydarzeń osnute.

Księgarnia p. Kolińskiego wydała „Książkę do czytania” dla małych dzieci, ułożoną przez Br. Brzozowskiego. Mieszczą się tu obok przedruków, wierszyków i prozy, znanych i mniej znanych autorów, drobne powiastki i anegdoty, układu samego wydawcy. Cena książki kop. 15.

## Od Szpitalika Dziecinnego.

Z okazji świąt Bożego Narodzenia, tych świąt tak radośnie oczekiwanych przez szczęśliwe dzieci, obdarzane upominkami zarząd szpitala dziecinnego do nich się zwraca, by im przypomnieć w te dni uroczyste, o rówieśnikach, ubogich i chorych dzieciach, pozbawionych wszelkich darów i przyjemności. Zwraca się z prośbą, aby im przyszli z pomocą za zezwoleniem rodziców lub opiekunów z ofiarami w naturze, składając co kto może: zużyte ubranie, bieliznę lub zabawki, na użytek dzieci wychodzących ze szpitala, co przyjmować będzie z wdzięcznością starsza Siostra Miłosierdzia w Szpitalu dla dzieci, przy ulicy Aleksandrya Nr. 25.

### PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rocznie rs. 4, z przesyłką pocztową rs. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna. Rocznie w Austrii 10 koron, w Prusach marek 10; — stosownie do tego półroczna i kwartalna.

ADRES REDAKCYI, ULICA Mazowiecka Nr. 10 NOWY.

TREŚĆ: Seweryna Duchńska (z portretem). — W wiejskiej zagrodzie przez Maryę Łopuszańską. — Sfinks lodowy, Juliusza Verne'a, przekład M. D. (z ryc.) — Nowe książki. — Dodatek: Niedźwiedź, wiersz (z ryc.) — Nasza ciocia, komedyjka w jednej odsłonie. — Spełnione przyrzeczenie. — Łamigłówni i rozwiązania. — Skrzynka do listów. Dodatek książkowy: Juraś i Anulka czyli historia rozbitków. Powieść Andrzeja Laurie, przekład M. D.



# WIECZORY RODZINNE

## NIEDŹWIEDŹ.



W cichej puszczy, głuchym lesie,  
Kędy wicher szumy niesie,  
Gdzie stuletnie dęby rosna,  
Gdzie świerk gwarzy z siostrą sosną,  
Gdzie mchy wonne się usiały,  
Tam się chował niedźwiedź mały.  
Dobrze było na wolności,  
W cichej puszczy na swobodzie  
Ale, panu jegomości,  
Zagustowało się w miodzie.  
Miód, przysmaczek to nielada,  
Więc miś wyjrzał z puszczy ciemnej,  
I w wycieczce raz tajemnej,  
Wytropiony, w łapkę wpada.  
Dziś, na łańcuch biedak wzięty,  
Jak zagrają musi skakać,  
Chodzić przez żelazne pręty,  
Żeby mógł, wołałby płakać.  
Jak przypomni puszczeń ową,  
Gdzie szum dębów, gwar słowiczy,  
To z spuszczoną duma głową,  
I niedźwiedzim głosem ryczy.

Marya S.



# NASZA CIOCIA

KOMEDYJKA W JEDNEJ ODSZONIE.

(Dokończenie).

## SCENA III.

(Gucio płacze, po chwili wchodzi Irma, ubrana po podróżnemu).

IRENA (sposstrzegając Gucia). To pewnie mój siostrzeniec, biedaczek płacze, musiał mu ktoś krzywdę wyrządzić. (Zbliża się do Gucia). Czego ty maleńki płaczesz?

GUCIO. Julek powiedział, że ciocia mię wybije!...

IRENA. Julek, to twój braższek pewnie? A tobie jak na imię?

GUCIO. Ja jestem Gucio.

IRENA. Nie trzeba płakać Guciu, to nieladnie, jesteś już taki duży chłopczyk. Powiedz mi, dla czego Julek mówił, że ciocia cię wybije, czy zrobiłeś coś złego?

GUCIO. Nie, tylko Julek powiedział, że nasza ciocia

co ma przyjechać, jest brzydka i zła, że jej nie trzeba kochać, a Brońcia powiedziała, że Julek kłamie.

IRENA. Aha! To tak było!... Widzisz Guciu, Brońcia miała rację; Julek nie mógł prawdy mówić, bo nie zna wcale waszej cioci.

GUCIO. A pani ją zna?

IRENA. Nie kochanku; ale radzę ci nie uprzedzaj się do cioci, bo ona może was bardzo kocha. Julek źle robi, że cię okłamuje, Brońcia, jak widzę, jest rozsądną. Przystanij więc płakać i idź do niej i Julka, powiedz im, że przyjechała jedna pani, która ich poznać. Niech

więc tutaj przyjdą.

(Gucio wychodzi. Irma)

IRENA. Zaczaj

ch siostrzeńców niekontent z mego przyjazdu podburza mego malca. Oj, źle! Będę miała z nim biedę. Nigdy się tego nie spodziewałam; myślałam, że mnie tu oczekują niecierpliwie, że mię dzieci odrazu pokochają... A tu na samym wstępie napotykam trudności; pociesza mię jeszcze nadzieja, że Brońcia musi być dobrą dziewczynką, będą więc miała sprzymierzeńca. A jeżeli się zawiodę?... Ach! pocóż naprzód się martwić? Przy pomocy Boskiej pokonam wszystkie trudności i pozyskam serca moich siostrzeńców. Zaraz dzisiaj spróbuję jednego sposobu, przedewszystkiem muszę tylko zachować w tajemnicy, że jestem ich ciotką.

SCENA IV.

(Wchodzą Julek i Brońcia, kłaniając się zdaleka).

IRENA (zbliża się do nich i całuje). Domyślałam się, że mam przed sobą Julka i Brońcie?

BRONCIA. Tak, proszę pani.

IRENA. Przejeżdżając tędy, wstąpiłam umyślnie do was, żeby się poznać z wami i zobaczyć mamę, którą znam dobrze.

JULEK. Mama dzisiaj wyjechała po sprawunki.

BRONCIA. Ale, proszę pani, mama wróci niedługo.

IRENA. To dobrze, zaczekam na nią. Zdaje mi się, że w waszem towarzystwie nudzić się nie będę. Dużo macie rodzeństwa?

JULEK. Jednego tylko braciszka mamy, którego, zdaje się, że pani poznała.

IRENA. O! z Guciem już się znamy dobrze. Biedaczek płakał, gdy weszłam do pokoju.

BRONCIA. Bo on proszę pani jeszcze mały, czasami trochę grymasi.

IRENA. Mówił mi, że się boi jakiejś cioci, która ma do was przyjechać, Julek podobno mu powiedział, że ta ciocia go wybije.

JULEK (zmieszany). Więc on to powtarzał pani? Nie-nerozsądny dzieciak, ja przecież z niego tylko żartowałem.

BRONCIA. Ja cię przestrzegałam.

IRENA. On jeszcze za mały, żeby się poznał na żartach. Nie trzeba mu się sprzeciwiać.

JULEK. Ja mu się nigdy nie sprzeciwiam, tylko dzisiaj coś mi przyszło do głowy, żeby tak mówić o naszej cioci, której nie znam wcale.

BRONCIA. Ja mu proszę pani zwracałam uwagę, że nieładnie mówić o nieznannej osobie, że jest brzydką słą.

JULEK. A ja tylko mówiłem tak naumyślnie, żeby się rozgniewać.

IRENA. Doprawdy? Julku, co ja słyszę? Robiłeś więc na złość siostrzyczce. To nieładnie.

JULEK (zmieszany). Bo proszę pani, ona się zawsze tak sprzecza.

BRONCIA. Niech mu pani wierzy, to on jest taki kłótlawy,

JULEK

się, że macie za-  
nieś coś podobnego.

BRONCIA (zawstydzona). Proszę pani, myśmysię tylko teraz tak zapomnieli, ale niech pani o tem nikomu nie mówi.

IRENA. No dobrze, dobrze, nie myślcie znów, że jestem tak niewyrozumiałą. Ja wiem przecież, żeście jeszcze bardzo młodzi, nie możecie być doskonałymi, z czasem dopiero, przy dobrych chęciach pozbędziecie się brzydkich wad. Na wszystko trzeba czasu.

BRONCIA. Pani musi być bardzo dobra.

JULEK. Żeby to nasza ciocia była do pani podobna!

IRENA. Ależ wasza ciocia może być lepszą od mnie.

JULEK. Och! z pewnością nie!

IRENA. Nie bądź tak pewnym, przecież jż nie znasz.

BRONCIA. Ktoś zajechał. To mama proszę pani wróciła z miasta.

IRENA. Idę do niej natychmiast.

JULEK. Ale pani nie odjedzie zaraz, prawda?

BRONCIA. Zostanie pani, chociaż do wieczora czy dobrze?

IRENA. Zostanę, zostanę! (wychodzi).

SCENA V.

BRONCIA. Ciekawam, skąd mamusia zna tę panią? Taka miła... Bardzo mi się podobała!

JULEK. I mnie także. Żeby taka była naza ciocia, to kochałbym ją bardzo i uczyłbym się doskonale.

BRONCIA. Cóż ty ciągle o tej cioci myślisz? Jak przyjedzie, to zobaczysz jaką jest, i kto wie, czy jej nie polubisz.

JULEK. Och! że nie, to nie! Wolałbym nawet, żeby ta ciocia nie przyjeżdżała wcale, możeby mama namówiła tę panią, żeby została u nas.

BRONCIA. Tylko, że ta pani nie chciałaby uczyć takiego, jak ty, bo już dzisiaj miała sposobność cię poznać, Gucio przedstawił cię najlepiej.

JULEK. Bardzo cię proszę, moja Brońciu, nie dogaduj mi; nie moja w tem wina, że Gucio jest dzieciakiem nierozsądnym.

BRONCIA. Ty jesteś nierozsądniejszym od niego, bo Gucio jeszcze dziecko, nie trzeba go okłamywać.

JULEK. Ja nie okłamywałem; zobaczysz że ta nasza ciocia będzie zupełnie taką samą, jak mówiłem.

BRONCIA. Nieprawda! Ja ręczę, że będzie inną.

JULEK. Nie ręczę, bo się omylisz.

BRONCIA. Właśnie, że się nie omylę. Źle bardzo robisz, że się do cioci upredzasz coby na to powiedziała ta pani, gdyby słyszała, jak ciągle upierasz się przy swoim.

JULEK. Ona nie słyszy. A zresztą, jabym jej w oczy powiedział, że naszą ciocię mógłbym wtedy tylko polubić, gdyby do niej była podobną.

BRONCIA (wzruszając ramionami). Niema z tobą co mówić! Dzieciak jesteś!

JULEK (oburzony). Co? co? Ja dzieciak? A proszę mi powiedzieć, kto starszy?

BRONCIA. Latami, ty jesteś starszy, ale to chociaż chwalić się nie lubię, jednak przyznaję że ja cię cokolwiek przerosłam.

JULEK. Doprawdy?... Ja ci właśnie dowiodę, że nie masz wcale rozumu. Kto mądry, ten się nie przechwala!

BRONCIA. Nie mówię przecież, że jestem bardzo mądrą, na to jestem za młodą, dużo mi więc jeszcze brakuje do uzupełnienia mego rozumu; jednakże na dowód, że więcej go mam od ciebie, ustępuję ci, bo widzę, że dzisiaj ciąglebys się sprzeczał. Do widzenia! (*wybiega*).

SCENA VI.

JULEK (*wzburzony chodzi po scenie*). Proszę! Proszę! Jak zmądrzała!... A wygadana, jak każda dziewczyna, że do słowa nie dopuści, trudno byłoby ją przegadać. Ale poczekaj!... I tak na twojem się nie stanie, zanadto byłabyś zarozumiała!... Gdy przyjedzie ta nasza ciocia, to chociaż będzie ładną i najlepszą w świecie, ja jednak na złość, ciągle udawać będę, że jej nie cierpię. (*Chodzi zamysłony, po chwili staje*). Przyznam otwarcie, że będzie to wprost nierozsądnem, ale inaczej być nie może, bo przypuścimy, że gdybym tę ciocię polubił, to Broncia wyśmiewałaby się ciągle ze mnie, i przypominała własne moje słowa. Tak więc, od tej chwili, muszę mieć ciągle w pamięci, że cioci nie cierpię... A jeżeli będzie podobną do tej pani?... Ech! zabawne przypuszczenie! To przecież niemożliwe!... (*Wbiegu Broncia*).

BRONCIA. Julku! złapałeś się! Naszą ciocię będziesz kochał, młoda, ładna i dobra.

JULEK. Jakto, przyjechała?

BRONCIA. Przyjechała. Z pewnością będzie ci się podobała.

JULEK. Nie bądź tak pewna tego, ja ci mówię, że jej nie znoszę.

BRONCIA. Jakto? A przed chwilą mówiłeś, że ci się tak podobała.

JULEK. Kto, ciocia?

BRONCIA. Tak, nasza ciocia Irena.

JULEK. Moja Bronciu, nie żartuj ze mnie; przecież jej nie widziałem wcale.

BRONCIA. Nie widziałeś tej pani? Przecież ją chwaliłeś, podobała ci się bardzo!...

JULEK. Ale cóż za związek ma ta pani z naszą ciocią?

BRONCIA (*śmieje się*). Ha, ha, ha, jakaż ja roztrzepała! Mówię tak, jakbys już wiedział o wszystkim, a zapomniałam oznajmić ci, że ta ładna i miła pani, to nasza ciocia Irena.

JULEK. Nie może być?...

BRONCIA. Tak jest, nieinaczej. Wiem to od niej samej i od mamy. Ciocia się tak śmieje, że nas w pole wprowadziła.

JULEK (*zmieszany*). Ten Gucio, potrzebnie powtarzał, co ja mówiłem? Teraz, jak ja się cioci pokazę.

BRONCIA. Widzisz, mogłeś mnie słuchać i Gucia nie burzyć.

JULEK. Daj mi już pokój, bo ja sam wiem, że źle zrobiłem, wystrychnąłem się na dudka.

BRONCIA. Trudno, co się stało, odstać się nie może, puść to lepiej w niepamięć i ciesz się razem ze mną, że mamy taką kochaną ciocię.

JULEK. Kiedy mnie doprawdy wstyd jej się pokazać!

BRONCIA. Ciocia taka dobra, że pewnie nie ma do ciebie urazy.

IRENA (*wchodząc*). Zgadłaś Bronciu, zupełnie nawzajem zapomniałam o tem, co Julek powiedział, pragnę tylko, żeby wprost przeciwnie postępował, to jest, żeby mię kochał, a wszystko dobrze pójdzie.

JULEK (*biegnąc do Ireny*). My teraz już całkiem kochamy naszą ciocię.

*Niezapominaj!*

SPEŁNIONE PRYZRZECZENIE.

(Ciąg dalszy).

— Przyszliśmy — rzekł — wynagrodzić wam oczynioną krzywdę, a ponieważ pieniądź nie jest dostatecznym, więc wnuk mój jeszcze sam czuwać będzie, by wyleczyć oczy małego. Skinął na Witolda, a ten wyrywając z kieszeni małą dziecinną sakiewkę, zbliżył się do starego Szmula, wysypał całą zawartość na wydłobion starca.

— To wszystko co przez cały rok uzbierałem — powiedział — proszę, weźcie to dla waszego Abramka.

Szumol spojrział na błyszczące czterdziestówki i dziesiątki, w oczach zamigotały mu jakieś blaski, a na twarzy ukazał się uśmiech zadowolenia. Pokiwał głową, jutro szabas to i hała i ryba będzie. Mówić coś pomiędzy sobą zaczęli, spoglądając na Witolda i kiwając głowami. Srebrna moneta przeczodziła kolejno z jednej ręki na drugiej, oglądali, liczyli, przyglądali jej się pod światło, a dziadek przystąpił do nich i rzekł:

— Za chwilę nadejdzie tu jeszcze doktor, który trzy oko dziecka i da nam wskazówki jak postępować należy, a ponieważ wy za zarobkiem dzień cały biegać musicie, dziecko, o ile okaże się tego potrzebne, zapisaniem zostanie do szpitalika dziecinnego.

Rodzice na nowo spoglądali na siebie zaczęli; naradzali się widać, co zrobić, czy przyjąć ofiarowaną im pomoc, czy też prosić jeszcze o wynagrodzenie pieniężne i dziecko leczyć w domu, bo rozprawiali coś żywo, spoglądając to na Witolda, to na dziadka, gdy wtem wszedł oczekiwany lekarz. Dziadek podał mu rękę, usunęli się nieco obaj i coś półgłosem z sobą mówili. Witold na jego widok zadrżał. Za chwilę usłyszy wyrok! Boże! aby tylko chłopiec nie zaniewidział, aby pomoc przydać się jeszcze mogła!

Usunął się w ciemny kąt izby i niespokojnie śledził każdy ruch lekarza. A ten łagodnie zbliżył się do jęczącego dziecka, jakoś przekonywająco zaczął do niego przemawiać, wydobył nawet kilka cukierków, którymi przynęcił go do siebie i tak pomaleńku zabrał się do oglądania chorego oka. Badając, kiwał głową jakby się czemuś dziwił; namyślał się potem chwilę wypytywał o wypadek, kiedy miał miejsce, a wreszcie oznajmił, że oko nie jest sfłuczone, zwłaszcza siatkówka uszkodzona.

Jak się to skończy trudno przewidzieć, przy wielkiej jednak troskliwości, przykładaniu zimnych okładów i używaniu przepisanego lekarstwa może być jeszcze wszystko dobrze.

— Przedewszystkiem jednak — ciągnął dalej — iedko do szpitala oddać koniecznie potrzeba, tutaj o jakkolwiek kuracyi mowy być nie może. Tam, przy zawiązaniu przepisów higieny, pod ciągłym nadzorem kuracya większą daje pewność pomyślnych rezultatów, chociaż i tam... — dodał po chwili — chorych tak wiele a dozorujących zbyt mało ..

Nie dokończył, bo Witold słuchając uważnie tego co powiedział, pobiegł do niego i zawołał energicznie:

— Więc ja go dozorować będę, to jest moim obowiązkiem, ja cały dzień siedzieć będę jeśli potrzeba.

Doktor spojrzał zdziwiony.

— Twoim obowiązkiem dlaczego?

— Bo to ja jestem sprawcą tego nieszczęścia — powiedział z mocą, choć mu łzy błyszczały w oczach a usta drżały ze wzruszenia — ja mu tę krzywdę wynagrodzić muszę. Codziennie do szpitalika chodzić będę, by składać kompresy; a składając ręce, tonem błagalnym, proszę jeszcze:

Wszakże mi wolno będzie, doktorze, nieprawdaż? lekarz ujął dłoń chłopca życzliwie,

— I dobrze zrobisz, mój przyjacielu, żałując za położone winy zmniejsza się je do połowy, a przyznając się do nich tak otwarcie z serdecznym staraniem by je naprawić, głodzi całkowicie. Jutro więc wspólnie zaoferujemy się tym pokrzywdzonym i miejmy nadzieję, że Bóg tej szlachetnej myśli dopomoże.

(d. n.)

## ZAGADKA.

Gdy ja łamię się i kruszę,  
Łączę dłonie, łączę dusze,  
I jednoczy się rodzina,  
Gdy mną dzielić się zaczyna.  
Łza się cicho w oku kręci,  
Nieobecny — znak pamięci —  
Słodkich życzeń słowa płyną —  
Dziatwa skacze pod choiną —  
Toż we dworze, czy pod strzechą,  
Raz w rok, kiedy, gwiazdka wschodzi,  
Z rozrzwinieniem i uciechą  
Mnie witają starzy, młodzi.  
Wnet na waszym spocznę stole,  
Dajże Boże w dobrą dolę,  
Dajże Boże w szczęsną chwilę  
Ziścić szczerych życzeń tyle!..  
I Redakcyja, choć daleka,  
Sercem tylko będzie wszędzie,  
Jako zwyyczaj nasz od wieka,  
Szukam mnie do was po koledzie!

Dla uniknięcia zwłoki w przesylce Pisma, przypominamy o odnowieniu opłaty na rok przyszły 1898.

## „WIECZORY RODZINNE,“

wychodząc będą pod temi samemi, jak dotąd warunkami i w tym samym kierunku.

## Skrzynka do listów.

*Sroczkę z Ukrainy...*, *Konwalijkę z n. Bachorzy*, *M. Bębnowskę*, *z Rudni*, *z Moskwy*, *Marynę*, *Linę*, *Zonię*, *Władkę*, *Lilijkę* i *Litwinę*. ponownie prosimy o przeznaczenie na inny cel lub odebranie pieniędzy nadesłanych do naszej Redakcyi, na budowę pomnika A. Mickiewicza, już po zamknięciu przez Komitet wyższe składek, jak to w swoim czasie zaznaczyliśmy.

*Litwince* i *Lilijce* z wdzięcznością dziękujemy za sukienkę i koszulkę własnoręcznej roboty dla biednego dziecka na gwiazdkę.

Bardzo nam się podoba pseudonym *Kryszałka*, i winszujemy trafego wyboru. Łamigłówni przejrzymy, zaginiony numer wysyłamy.

Radzi jesteśmy, że opis Częstochowy tak się podobał *Jance Jur...* Ofiary dla biednych dzieci przyjmujemy bez terminu, lepiej jednakże, aby jako przeznaczone na gwiazdkę, wcześniej nas doszły i na ten dzień dzieci otrzymać je mogły.

*Wandzi K.* żądane numera wysyłamy.

*Panu M. W. z Płocka.* Pieniądze, o które sz. pan zapytuje odebraliśmy, w swoim czasie była o tem wzmianka i podziękowanie w Nr. 44 *Wieczorów*, dostał je prawdziwie biedny uczeń. Adres naszej Redakcyi jest zawsze ulica Mazowiecka Nr. 10.

*Aleksandrowi Sterl...* Powiastka napisana i pomyślana dość udatnie, do druku się jednak nie nadaje, bo wieleby w niej poprawić jeszcze trzeba. Pracując jednak pilnie i wytrwale, z czasem styl się wyrobi, myśli przyodziejają w piękniejszą formę. Tymczasem zachęcamy do dalszej pracy, której próbną od czasu do czasu proszę nam przysyłać, byśmy mogli pomóc.

*Przyznaniemu z nad Kongo* dziękuję bardzo za ciekawy list z opisem przepędzonych wakacji; wypadek nad wodą zajął mnie, a jednocześnie i przeraził, szczęściem, że się wszystko pomyślnie skończyło. Zagadki, łamigłówni, szarady tak łatwiejsze jak i trudniejsze redakcyja z chęcią przyjmuje i o ile okażą się udatne pomieszczą kolejno w *Wieczorach*.

List *Celinki K.* z prawdziwą powitalną radością, bo i treść jego miła, i pismo porządne, rada też jestem powitać w tobie nową korespondentkę, proszę cię tylko, nadal nie nazywaj mnie panią, bo mojem zadaniem jest być dla was nie mentorką lecz serdeczną przyjaciółką. Łamigłównę oddałam w redakcyi, gdyż sama o przyjęciu jej nie decyduję, w każdym razie, radzę ci, byś układała szarady i łamigłówni, jeżeli w tem znajdujesz przyjemność, nie jedna to druga może się nadać do druku.

*Szafirka* odebrała już zapewne zaginiony numer, który jej natchmiasz wysłany został, rozumiemy dobrze, jaka to przykreść być pozbawioną dalszego ciągu zajmujących powieści i opowiadań. Liścik bardzo porządnie napisany.

*Srocce z Ukrainy* przyznana nagrodę wysyłamy. Redakcyja posiada już przygotowane powiastki, równie ciekawe jak *Jagienka*, jedną nawet tejże samej autorki, drukować będzie w roku przyszłym.

Dziwiłam się czasami, dlaczego od tak dawna od *Lucia K.* nie otrzymałam żadnej wiadomości, smutno mi też, że choroba była przyczyną milczenia. Łamigłówni *Lucia*, może nie odpowiadają warunkom, a może też czekają jeszcze swej kolei. Nowo przysłane złożyłam w redakcyi. Rozwiązania dobre. Cudze pisze się przez u nigdy przez ó, więcej pomyłek nie dopatryłam.

*Jaskółki.*